

FUNDACJA GENERALI ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



MS RIVER NY 08151-4022
DRANSESTAD WI HCB
USA

Sybiraczka
PSK
BLISKI
Wschód

ewal przekształce
F. M.

KACIMARSKA Krystyna
zd. Bojanowicz

3165/USK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 3165/WSK PSK
KACZMARSKA Krystyna
z d. Bojanonia

I/1. Relacja ✓

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

1939 III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne ✓

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne —

VI. Fotografie —

I II Relacja utasowania

- K. Koszmaraka "Nasza Rosyjska Gehenna", ~~Kopie~~ Tom's River, N.J.
USA 2001r., kopia, k. 6 s. 1-11.



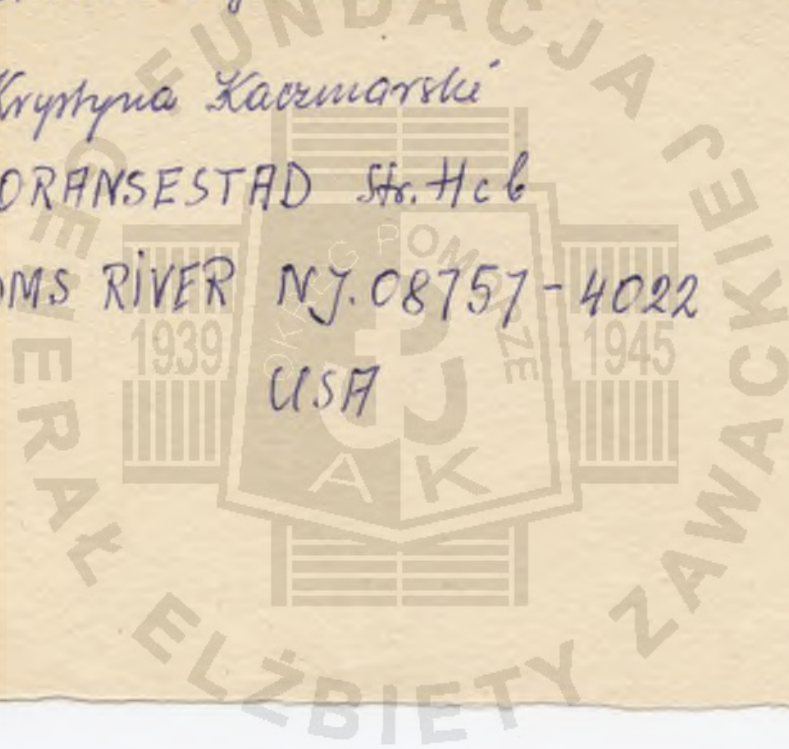
Autorke wspomnień - adres zamieszkania^{11/11}

Krytyna Kaczmarski

1 DRANSESTAD Str. Hc 6

TOMS RIVER NJ. 08757-4022

USA



Krystyna z Bojanowiczów Kaczmarska

NASZA ROSYJSKA GEHENNA

Poświęcam te wspomnienia pamięci
moich Rodziców Władysławy i Ludwika Bojanowiczów
i mojej Siostry Heleny.
Oby Dobry Bóg miał ich blisko Siebie na wieki.

Wpłynęło dnia 20.09.
L.dz. 3590 HSK 2002

WSTĘP

Od dawna namawiano mnie, żebym spisała swoje dzieje, zwłaszcza przeżycia z Rosji. Wzdrygałam się przed tym. Przez długie lata mojej wędrówki po świecie, po opuszczeniu Rosji, nawet myśleć o tym nie chciałam. Zagrzebałam moją przeszłość i mój ból bardzo głęboko. Po co je odkopywać?

Kalina Sroczyńska, jej mąż Władysław, Marysia Siła-Nowicka - Maruszyk, Andrzej Trzebicki i inni krewni w Polsce powiedzieli, że właśnie trzeba. To jest mój obowiązek. Przynajmniej w ten sposób muszę uczcić pamięć tych, co byli mi najdrożsi, bez winy cierpieli na nieludzkiej ziemi, i tam też pozostały ich martwe ciała. Należy też wspomnieć tych, którzy nam pomagali, i tych, dzięki którym choć ja jedna ocalałam. Moje potomstwo też powinno cośkolwiek wiedzieć o tym, co ja przeszłam. Więc teraz opiszę to, co jeszcze pamiętam. Teraz będzie łatwiej, bo przeszedł gniew, przeszła nienawiść, nawet rozpacz pozostała gdzieś daleko w tyle.

POCZĄTEK

Urodziłam się i mieszkałam w Warszawie. Tatusz pracował w magistracie. W 1939 roku przeszedł na emeryturę. Latem tego roku przenieśliśmy się do Wilna. Krążyły pogłoski, że może być wojna, ale tatusz w to nie wierzył. A woja przyszła. Wilno zajęła czerwona armia. Razem z nią wkroczyła bieda. Nam było tym bardziej ciężko, bo emerytura ojca przestała istnieć. W krótkim czasie, z wielką fanfaramą, oddały Sowiety Wilno Litwie. Z wojskiem litewskim przyszła aprowizacja i pomoc dla biednych. Można było nawet wracać do Warszawy, ale mamusia bała się Niemców. Niestety, względnie dobre czasy nie trwały długo. Sowiety zajęły wszystkie kraje nadbałtyckie. Teraz już cała Litwa do nich należy. Jak na zaklęcie wszystko znikło ze sklepów. To ta rosyjska czarownica to zrobiła. Ależ ona ma moc! „Czyż może być gorzej?” myślimy. Oj, może, jeszcze jak może! Co myśmy mogli wiedzieć o bezmiarze nienawiści i głupoty naszych najeźdźców ze wschodu? Modlimy się gorąco w Ostrej Bramie, prosząc Matkę Bożą o ratunek. Mój kuzyn Władysław Siła-Nowicki zobaczył plakat, że będzie otwarty teatr „Operetka” i jest konkurs na śpiewaków i muzyków. On to namówił tatusia, żeby się zgłosił, bo miał piękny głos i talent aktorski. Tatusz wygrał konkurs i został przyjęty. Było sporo radości. Tylko, że teatr nie będzie tak zaraz otwarty. Co robić? Trzeba z czegoś żyć. Więc tatusz poszedł pracować jako nocny stróż w fabryce. Nie wiadomo z czego dostał karbunkuł na karku. Musiał być operowany. Stracił dużo krwi, osłabł i nie mógł przyjść do siebie bardzo długo. Nawet nie chodził. Przyszło lato 1941-go roku. Z operetki jeszcze nic. Chodzą pogłoski, że będą aresztować polskich oficerów. Władysław Siła-Nowicki wyjeżdża z młodą żoną na Litwę i tam się ukrywają. Jest jakiś dziwny, złowieszczy spokój, jak przed burzą. Może Niemcy ruszą na Rosję? Będzie nowa wojna. Przegonią tę zarazę. Ale Niemcy to też nasz wróg. Jesteśmy między młotem a kowadłem.

NA SYBIR

Na kilka dni przed 21-ym czerwca, w nocy nad ranem, ktoś wali w drzwi czymś ciężkim, jakby kłodą drzewa, kiedy my wszyscy śpimy w najlepsze. Mamusia się zrywa, ja za nią. Pędzimy do drzwi. Może pożar? Otwieramy. Pcha się oficer NKWD, za nim czterech żołnierzy z karabinami (to oni kolbami tłukli do drzwi) i cywil, młody Żyd miejscowy, jako tłumacz. On mówi nam, że jesteśmy przesiedleni do innej miejscowości. Pytamy gdzie. On mówi, że nie wie. Mamy pół godziny do spakowania się i możemy wziąć tylko tyle, co sami uniesiemy. Na resztę naszych pytań nie ma odpowiedzi. Stoimy bez ruchu, osłupieni. A czas leci. Co brać? Co tu brać? Co my możemy unieść? Moja siostrzyczka Helenka ma 10 lat, tatuś do tej pory nie wstawał z łóżka. Tylko mamusia i ja będziemy „tragarzami”. A oficer co chwila ostentacyjnie spogląda na zegarek i mówi, ile jeszcze minut nam zostało. Potem daje nam jakieś papiery do podpisania. Nie rozumiemy ich, ale, drżąc ze strachu, podpisujemy wszystko. Mamy jedną, sporą walizkę. Reszta – to tobołki, które wiążę razem z mamusią. I w drogę. Na Sybir - tylko że my jeszcze o tym nie wiemy. Wiozą nas otwartą ciężarówką przez Wilno, na stację. O wschodzie słońca zegniam to urocze miasto przekonana, że go już nigdy nie zobaczę. Do dziś mam przed oczami Helenkę dźwigającą tobołek niewiele mniejszy od niej, i tatusia chwającego się na nogach i niosącego aż dwa tobołki.

Na dworcu jest masa pociągów towarowych, do których ładują ludzi. Niektórzy mają duże toboły, niektórzy małe, jak my. Wepchnięto nas do wagonu z pryczami (wszystkie wagony miały prycze przygotowane dla „sybiraków”). Są malutkie okienka pod dachem. Jak stoję na pryczy, to mogę coś zobaczyć przez takie okienko. Myślę, że było nas ponad 40 osób w wagonie. Jest ciasno. My mamy jeszcze miejsce na pryczy, ale ci, których przywieziono na końcu, muszą spać na podłodze. Młoda Litwinka z niemowlęciem przy piersi, sama jedna, też lokuje się na podłodze.

Po dość długim czasie ruszamy. Jedziemy zdaje się na Moskwę. Ale zbaczamy, bo tory i dworzec są tam bombardowane przez Niemców. To jednak wojna jest naprawdę. A nas złapali w ostatniej chwili. I wiozą ten cenny ładunek tam, gdzie go ani wróg, ani wojna nie dosięgnie, żebyśmy mogli spokojnie budować raj proletariatu. Co parę dni dostajemy worki z chlebem i wiadra z gorącą wodą na herbatę. Problem jest w tym, że herbaty nie ma.

Po miesiącu wysadzają nas w nocy na stacji w małej mieścinie. Cokolwiek z nami robią, to w nocy, po zbrojecku. Ciężarówkami wiozą nas teraz do sowchozu. Chleb, który spleśniał w pociągu, jedzie z nami. To nasz przydział, nasza własność. Tylko kto go może jeść? Zebrali nas w wielkiej sali i czekamy. Nieśmiało i niby to od niechcienia wsuwają się tamtejsze Rosjanki z dziećmi, które są bardzo chude, ale mają duże, wzdęte brzuchy. Ktoś mi mówi, że to z głodu. Kręcą się koło naszego chleba i biadolą nad naszym losem. Wreszcie jedna, śmielsza, pyta czy może dostać trochę chleba. Mówimy, że chleb jest spleśniały. To nic, odpowiada. Więc proszę bardzo, bierz ile chcesz. Sięga po bochenek, łamie go. W środku jeszcze więcej pleśni. Daje go dzieciom. Jedzą łapczywie. Potem przyszły inne, i tak zjedzono nasz chleb. Zamarliśmy ze strachu. Co to nas czeka?

Przychodzi naczelnik, przedstawiciel NKWD i dostajemy dokumenty. Mamy prawo mieszkać w tym sowchozie, w Ałtajskim Kraju. Teraz wiemy, gdzie jesteśmy.

Altajski Kraj to też Syberia, tylko zamiast drzew są stepy. Góry Altaj gdzieś niedaleko, potem Chiny. Toż to nas zawieźli! Trudno było dalej.

Sowchoz jest to gospodarstwo państwowe. Ludzie pracują dla państwa za pieniądze i mieszkają w barakach. Więc rozsiedlają nas w barakach. Rodzice i dwie córki to za mała rodzina na jedno mieszkanie. Dostajemy pokój z kuchnią razem z panią Haas, która ma córkę i syna. Jesteśmy wszyscy zadowoleni, bo to bardzo miła, kulturalna rodzina. A nade wszystko wesola. Az dziwne, że w tej nędzy rozprężamy się i śmiejemy z byle czego. Kpimy z własnej niedoli. Ściany są z desek, a między nimi gniazda pluskiew. Światła nie gasimy, bo po ciemku więcej gryzą.

Nasze „władze” nie wiedzą, co z nami zrobić. Jesteśmy w „ziarno-sowchozie”, a ziarno jeszcze w polu. Nas muszą zatrudnić. Takie prawo. Jakiś mędrzec wymyślił dla nas robotę bardzo potrzebną Związkowi Sowieckiemu. Maszerujemy na plantację drzewek, żeby pielic. Mamy wyrywać wszystko, tylko nie te drzewka maciupienkie. Prawie och nie widać wśród chwastów, które rosną wspaniale, choć gleba sucha i popękana z gorąca. Słońce praży, a my na kolanach „budujemy” raj sowiecki. Wieczorem jesteśmy okropnie spragnieni. Cały dzień ani kropli wody w tym upale, na słońcu. Po drodze jest jakaś chałupa, opodal beczka, a w niej trochę wody. Rękami nabieramy ile można, i pijemy. Ależ ona śmierdzi! Lecz nawet taka może pragnienie zaspokoić. Kiedy już zbliżamy się do dna beczki, widzimy całą masę małych zdechłych rybek.

Ręce mamy pełne pęcherzy i popękane. Za tę pożyteczną pracę dostaliśmy po kromce czarnego chleba, a na koniec tygodnia parę rubli. Z mojej rodziny tylko mamusia i ja możemy pracować. Helenka jest za młoda, a tatuś ma ranę na karku, która ciągle ropieje. Z powodu tej infekcji jest zwolniony z pracy.

Na drugi dzień już nie gnają nas tak daleko. Wymyślili coś lepszego. Jak się mocno myśli, to zawsze się coś wymyśli. Bliżej też pracy w bród. Dają nam łopaty. Kopcie rowy na polu. Po co to? A po co pytać? Nikt nie odpowie, bo nikt nie wie. Tu ziemia nie jest nawet taka sucha. Tylko, że my za wiele wprawy ani siły nie mamy do takiej roboty. Entuzjazmu też nie za wiele. Ależ nawieźli sobie robotników! Pilnujący nas „uprawiajuszczy” biega wzdłuż sznurka, który oznacza, gdzie mamy kopać, czerwony jak burak, i ciągle coś mamrocze. W końcu wpada mu w oko pani Haas, która z gracją oparła się o łopatę i stoi. „A ty co tak stoisz?” – pyta. „Jestem zmęczona” – odpowiada pani Haas. „Ty nie po to tu przyjechała, żeby stać!”. „Ja nie prosiłam, żeby mnie tu przywieźli i ja tu długo nie będę.” – „A gdzie ty pójdziesz?”. „A do Ameryki pojedę”. Chłop zdębiał i wściekł się ze złości: „Tu twoja Jamerika, tu zdechniesz jak pies. I wy wszyscy, wszyscy. Nigdy i nigdzie stąd nie wyjedziecie!”. Krew mi zamarła w żyłach. Chyba ma rację? Ale nie miał. Mylił się. O, jakże się mylił! Prawda, że moja rodzina nigdy Rosji nie opuściła. Tam skonali, i tam zostały ich ciała, ale wierzę, że ich dusze są wolne i w lepszym miejscu, niż ten świat. Ja jednak piszę te słowa właśnie w Ameryce. Pani Haas odnalazła swego męża, osiedli w Anglii, kupili dom w Londynie, ich dzieci skończyły studia (córka medycynę, syn politechnikę) i chyba też pozostali w Anglii. Nie „podochli” na Syberii.

Rozpisałam się, bo myślę, że takie migawki są konieczne do zrozumienia naszej sytuacji.

Ponieważ w Sowieckim Sojuszu każdy pracuje „w swoim zawodzie”, to nam też dali w końcu pracę „po specjalności”: przy zbożu! Ogromne sterty zboża zwiezione z pola czekały na nas. Trzeba było to czyścić ze śmieci i plew w ręcznych wiatrakach (nie

ma to, jak sowiecki postęp) i przenosić w workach na plecach, i suszyć, suszyć. Potem zabierali do młyna. Cała bieda w tym, że nie było dachu. Jak przyszedł deszcz, to ziarno zakiełkowało. Z tego mąki nie będzie. Sowiecka gospodarka nie ma sobie równej!

Placono nam bardzo marnie. Zaledwie wystarczało na chleb i zupę w stołówce. Mamusia chodziła na bazar do miasta i wymieniała łaszki i trochę biżuterii za kartofle, jarzyny i twaróg. O mięsie nikt nie marzył. Syn pani Haas miał narciarskie buty i przynosił w nich trochę ziarna. Jego matka drżała, że nas nakryją i wsadzą do ciupy. Przynosiła, że nie będzie jeść tego zboża. Więc moja mamusia pożyczała młynek do kawy co jakiś czas i mieliliśmy ziarno. Kasza wychodziła gruba, ale z mlekiem była doskonała i pani Haasowa wcinała, aż miło.

Latem było bardzo ciepło i jakoś się żyło, ale widmo zimy stało przed nami jak upiór. Ludzie opowiadali, że zimą śnieg jest na wysokość człowieka. Trzeba przekopywać drożki, prawie tunele. Trzeba mieć ciepłe buty z wołoka – „walonki”. A my co? Mama, Helunia i ja mamy ładne pantofelki letnie na miasto. Tatus jeszcze najlepiej stoi, bo ma kamasze powyżej kostek. W jedynym sklepiku są pustki, jak wymiółł. Toż to jest wojna, kto by sprowadzał walonki? Nasze płaszczyki też wiatrem podszyte, nie bardzo pasują do sybirskiej zimy. Watowane „jubki” – to jest strój na zimę. Zamarzniemy chyba i koniec.

Az tu któregoś dnia słyszymy, że przez miasteczko przejeżdżają pociągi z polskimi jeńcami, którzy są zwolnieni z łagrów i jadą do polskiego wojska, powstającego w Barnaule i Jangi-Julu. Nie wierzymy. To bzdury! Ale tych „bzdur” coraz więcej. Pociąg za pociągiem. Wreszcie ktoś wyczytał w gazecie, że Generał Sikorski zawarł umowę ze Stalinem: jeśli ten zwolni wszystkich Polaków, to Sikorski stworzy armię polską, która pobije Niemców i ocali Związek Radziecki. Cóż to się dzieje? Świat się odwraca do góry nogami, czy co? Ci wygłodzeni łagiernicy, te strzępy ludzkie w zawszonych łachmanach, to ma być armia zbawienia dla naszego wroga? Generał Sikorski przechytrył Stalina? Ależ z niego polityk! Pierwsza klasa! Niemcy muszą dobrze dawać w skórę Rosji, jeśli Stalin, nie w ciemną bitą sztukę, dał się namówić na coś takiego. My chodzimy jak oszołomieni. Trudno uwierzyć w to wszystko. No i co będzie z nami? Czy my też mamy być wolni? W końcu przyszła oficjalna wiadomość. Zostajemy zwolnieni do wielkiej sali, w której tak niedawno nas witano jako niewolników, i oficer NKWD oznajmia nam, że nie tylko nie musimy mieszkać w tym sowchozie, ale nawet i w Ałtajskim Kraju, że możemy jechać, gdzie chcemy. Byle tylko nie blisko frontu – a więc nie do Polski... Poza tym droga jest otwarta. Jesteśmy wolni!! Czy mamy szaleć z radości? Ale nie szalejemy. Droga do ojczyzny zamknięta, a co dobrego może nas czekać w tym kraju, w tym wrogim imperium? Tyle tylko, że może nie zamarzniemy na śmierć. Zaczynają się narady. Ale nie wolno długo się zastanawiać. Trzeba stąd wyrwać. Zbieramy nasze manatki i w drogę, do pociągu. Na południe, bo tam ciepło: kupujemy bilety do Taszkientu i jazda. Ach, co za jazda! Upojeni wolnością zapominamy o głodzie. Stoję z tatusiem na froncie wagonu, wiatr mi rozwiewa włosy i smaga twarz. Tatus mówi: „Chociaż głodno i chłodno, jedziem sobie swobodno”. Biedak, to była chyba jego największa radość od początku wojny. Głód dokucza coraz bardziej. Pozbywamy się nawet potrzebnej odzieży, aby za nią kupić żywność: „uriuk” czyli suszone owoce, rzepę, białe buraki, czasem „lepioskę” – płaski chleb tubylców. Tak włóczymy się z miasta do miasta.

Nie ma gdzie wysiadać. Stacje i perony zapchane ludźmi z tobołami. Przejechaliśmy Czymkient, Taszkient, Alma-Atę i moc mniejszych miast. Nikt nas o bilety nie pyta. Bezład. Popłoch. Ludzie bezdomni, włóczęgi. Najwięcej Rosjan z Europy. Uciekają przed Niemcami. A my dokąd? Zagubieni! W końcu wyrzucili nas z pociągu, bo dalej nie szedł, koło ogromnej rzeki, Amu-Darii. Tam była już masa ludzi, ale też dużo przestrzeni i wielka szopa w polu. Dostaliśmy się do niej ku naszej wielkiej radości, bo robiło się zimno. Ale co z tego? W nocy uciekliśmy na pole, bo oblaży nas wszy. Nowa rozpacz. Głód, chłód, i na dobitkę to. Nigdy nie zapomnę wstrząsu i obrzydzenia na widok prawdziwych, żywych wszy na moim ubraniu. Na polu było lepiej, bo już tak nie gryzły, tyle, że rano byliśmy pokryci szronem. „Nasz” pociąg odjechał. I co teraz? Tu zostać, to koniec nas wszystkich. Najwięcej baliśmy się bezdomnych wygłodzonych psów, krążących dookoła. Żeby nas żywcem nie zagryzły! One jednak jadły tylko trupy – miały tego pod dostatkiem. Później dowiedziałam się, że pogryzły twarz i poszarpały ciało zmarłej tam pięknej dziewczynki, którą znalazłam jeszcze w Wilnie. Miała jechać z matką i siostrami do Szwecji; bardzo się cieszyły, bo miały już wyrobione wizy!

Po kilku dniach przyjechał pociąg: wyrzucono nową serię bezdomnych, a my na ich miejsce. wpakowaliśmy się do niego. Już nas nikt o nic nie pytał. Pociąg wypełniony nowym „cennym ładunkiem” odjechał. Jedziemy, gdzie nas poniesie. Jedno piekło za nami. A co dalej? Byliśmy tak wygłodzeni, że nie mogliśmy o niczym myśleć, tylko żeby dostać kawałek chleba. Przecież samą rzepą i „uriukiem” nie można żyć. W wagonie od wszy nie można było uciec. Jakaś pani rozchorowała się poważnie, majaczyła. Pewnie tyfus. Moja siostrzyczka Helenka, też chora: dostała wysokiej gorączki.

W małym miasteczku pociąg stanął i kazano nam wysiadać. Tu nie było zupełnie tłoku. Przyjechali po nas wozami z końmi i „arbami” – wozami o dwu ogromnych kołach, ciągniętymi przez wielbłądy. Przyszła też kobieta, doktor. Chorą panią wysłała do tyfusowego szpitala, a Helenkę do ogólnego, bo miała odrę. Powiedziano nam, że jesteśmy w Kazachstanie. Ludzie tu, to skośnoocy Mongołowie. Ich domki – lepianki z gliny i słomy. Dachy z samej słomy, ale nie spadziste strzechy, jak u nas, tylko prawie zupełnie płaskie. Zawieźli nas do takiej klitki. Tylko naszą rodzinę, bo na więcej nie ma miejsca. Podłoga w lepiance – to uklepana ziemia. Drzwi są, nawet – o dziwo – drewniane. Jedno małe okienko zaklejone pergaminem. Przy ścianie duża prycza, a na niej trochę słomy. W drugiej ścianie głęboka wnęka. Po co to? Później nam powiedzieli, że po to, aby się schować, gdy deszcz pada. W kącie małe piecyk naftowy, metalowy, z jedną dziurą, w której siedzi żelazna miska. Jak nie ma nafty, to się pali patyki. Mamusia, ja i Helenka (jak wróci) będziemy spać na pryczy, a tatuś, biedak, na ziemi. Życzliwy Kazach przyniósł sporo słomy. Jesteśmy umebłowani. Mamy tylko jedno prześcieradło, ale jest też pokrowiec od pianina, który jakimś cudem zabraliśmy ze sobą. Tatuś grał na pianinie, teraz będzie spał na pokrowcu. Wtem przyszło mi na myśl: „Może i na nim umrze? Może to będzie jego całun?” Przeszedł mnie dreszcz. Jak ja mogę tak myśleć? A jednak... Jednak jest w tym jakieś przecucie.

Mieszkamy teraz w „bawelnianym kołchozie”. To znaczy, że tu się pracuje przy zbieraniu bawełny. Dookoła podobno są pola bawelniane. Ale gdzież ona? Tylko krótkie badyle sterczą z rozmokłej ziemi. To nic, mówią nam, będzie ciepło, będzie

bawełna. Trzeba trochę poczekać, jest dopiero luty. Nigdy nie widziałam krzaków bawełny, jestem ciekawa, jak wyglądają. Idziemy spać głodni. Jedzenie będzie „jutro”.

Przyszło jutro z małym przymrozkiem. Ubieramy się szybko, sprawdziliśmy przed tym, czy nie ma wszy w naszym ubraniu. Wyrzucamy kołdrę i tatusia płaszcz podbity futrem na śnieg. To był wspaniały pomysł. Po kilku takich zabiegach byliśmy kompletnie wolni od wszy. Co za rozkosz!

Obietnica jedzenia jest dotrzymana. Młoda Kazaszka, mówiąca po rosyjsku, zabiera nas do składu z mąką. Trzeba mieć swój worek, więc bierzemy poszewkę od poduszki. Dostajemy po kubeczku mąki na osobę na dzień. Taki przydział dostaje się raz na tydzień. To jest zapłata z góry za pracę przy bawełnie. Trochę nafty do piecyka też nam dano, też na konto tej bawełny. Mamusia zaraz przetargowała złoty pierścionek z brylancikiem za obietnicę, że będzie dostawać co dzień, przez długi, długi czas, „pijalkę” (małą miseczkę) mleka i kawałek „lepioszki” (placka). Więc była uczta z zacierki na wodzie z mlekiem.

Nafta, niestety, skończyła się. Nasze pytania wywołały oburzenie. „Toż to jest wojna! Kto będzie nam przywoził naftę?!”. „Więc czym będziemy palić?”. A badyłami! Pełno ich dookoła w rozmokłej po śniegu glinie. To szczątki bawełny. Trzeba je wyrwać z korzeniami, bo właśnie w tych korzeniach jest moc magiczna tworzenia ognia w piecyku. Więc idę w pole. Włożyłam kamasze tatusia, bo moje pantofelki zostały by od razu w błocie. Kamasze też nie są najlepszym obuwiem na mokre pola. Woda w nich chlupocze. Ale nazbierałam „paliwa” co niemiara. Tylko schnąć nie chce. Znalazła się dobra dusza w postaci Rosjanki, która ugotowała kompot z suszonych owoców i przyniosła nam jego całą miskę, a także sporo suchych korzeni bawełny. Co za cudowny człowiek. Mamusia dała jej szalik. Najpierw nie chciała, ale w końcu wzięła. Wierzę, że Bóg jej to już lepiej wynagrodził tam, gdzie jest teraz.

Mamusia pojechała odebrać Helunię ze szpitala. Przywiozła ją z płaczem. Co się z niej zrobiło! Toż to skóra i kości. Sama siedzieć nie może, musi być mocno podpierana. Powiedzieli mamusi, że miała zapalenie płuc, ale już przeszło. Powinna być zdrowa. Ale gdzie tam. Ciągłe kaszle okropnie. Dopiero po jej śmierci dowiedziałam się, że miała gruźlicę. Żeby dziecko ratować, mamusia przehandlowała ostatnią cenną rzecz: piękną taftową wieczorową suknię, haftowaną koralikami, za dwie osełki masła wielkości piłek tenisowych. Nikt, oprócz Heluni, tego masła nie tknął. Jednak poprawy nie było. Tymczasem ja chodziłam zbierać korzenie, w wieczn mokrych butach, które ciągle grzęzły w błocie. Zachorowałam na anginę. Pani doktor przychodziła pędzlować mi gardło. Potem przyszło zapalenie ucha, które bardzo bolało. Pani doktor wpuszczała krople, ale to nic nie pomagało. Mamusia, zawsze zaradna, zdobyła siemię lniane, uszyła mały woreczek, w którym grzała siemię na piecyku i przykładła mi do ucha. To mnie wyleczyło. Biedne moje matczyko: dwie chore córki, chory mąż i taka straszna nędza!

Pani Haasowa z dziećmi została ulokowana z inną rodziną. Wszyscy zachorowali na tyfus plamisty. Na początku marca wrócili ze szpitala, jak z krzyża zdjęci. Nie do wiary, co ta choroba może zrobić z człowiekiem. Mamusia od razu rwie się, żeby im pomagać. Gdy rano wychodzi po mleko dla nas, to i dla nich. Ja ją błagam, żeby zostawiała mleko i uciekała, bo jeśli dostanie wszy, to koniec – tyfus murowany! Obiecała, ale nie posłuchała. Któregoś dnia wróciła z wszami. Oblał mnie zimny pot.

To jest znak śmierci. Pamiętałam, że mamusia kiedyś mówiła, że tyfusu nie przeżyje, bo ma słabe serce. Jak można tak narażać własne życie? Krzyknęłam: „Mamus, coś ty zrobiła?”. „No przecież musiałam im mleko podgrzać. Ledwo się ruszają”. Ogarnia mnie lęk nie do opisania. Wybrałyśmy resztę wszy, ale jak mamę już pogryzły, to nie ma ratunku. Modłę się, żeby tak nie było, i czekam w napięciu. Po dwóch tygodniach mamusia zachorowała. Od razu traci przytomność. Pani doktor stwierdza tyfus plamisty. Stało się! Przyjeżdża furmanka, żeby ją zabrać do szpitala. Wiem, że już jej nigdy nie zobaczę. Wpadam w rozpacz. To jest koniec, koniec! Jak tu wlać całą moją miłość w te ostatnie pocałunki? Wóz odjeżdża, uwożąc najdroższą mi istotę na zawsze. Spać nie mogę, a jak w końcu zasnę, to same koszmarnie sny mnie dręczą. Rano się zrywam i idę po mleko, potem zbieram korzenie. Po dwóch dniach jest wiadomość, że moja matka zmarła 12-go marca. Zabieram ojca, bo tak chciał, i jedziemy furmanką do szpitala. W drzwiach oddają nam maleńki tobołek – wszystko, co zostało po mamusi. Proszę o świadectwo zgonu. Doktor daje mi świstek papieru i coś na nim nabazgrane. Pytam, gdzie moja matka jest pochowana, bo muszę iść na jej grób. „O nie! Lepiej, żebyś nie wiedziała.” Potem dowiedziałam się, że co kilka dni wszystkie tyfusowe trupy wywozili w pole, wrzucali do jednego dołu i zalewali wapnem.

Gdy wróciłam, tatuś siedział na wozie i trzymał się za nogę, w której była nowa rana. Pytam, co się stało. „A jakiś bezdomny pies mnie ugryzł.” Jeszcze tego brakowało! O mój Boże! Wróciliśmy do naszej chatynki, gdzie poczciwa Rosjanka czuwała nad Helenką. Teraz wszystko na mojej głowie, a we mnie pustka i żyć się nie chce... Wołam panią doktor do ojca. Przyszła posmarowała ranę jakąś mazią i poszła. Robię co mogę: przynoszę mleko i lepioskę, zbieram korzenie, gotuję zupę. Helunia już prawie nie je, tylko kaszle i kaszle. Wieczorem świecę maleńką lampkę, którą mamusia gdzieś zdobyła, i myślę, że wygląda jak lampka na grobie. Tak, ona chyba jest na naszym wspólnym grobie. Kiedy płaczę, Helunia mnie pociesza: „Nie płacz Krysiu, mamusia wróci ze szpitala i będzie dobrze.” Nigdy się nie dowiedziała, że mamusia już nie wróci.

Po jakimś tygodniu nie mogę wstać. Ani rusz nie podniosę się z pryczy. W głowie mam zamęt, nie wiem co się dzieje. Tracę przytomność. Po pewnym czasie znów jestem przytomna, ale nie mogę się ruszyć. Spoglądam na tatusia i widzę, że nie leży na posłaniu. Mówię, żeby się sam przesunął, bo ziemia twarda i zimna, a ja mu pomóc nie mogę. Nie odzywa się, ani nie rusza. Opuszczam rękę i dotykam jego czoła. Jest lodowato zimne. Nie wiem, jak długo leżałyśmy z trupem ojca na podłodze. Polaków już nie ma – wyjechali tam, gdzie się tworzy polskie wojsko, „naszej” Rosjanki też nie widać. Wreszcie zjawiła się jakaś pani, jak się potem okazało - Żydówka z Estonii. Niech jej Bóg da wszystko, co najlepsze! Ona zawołała furmankę, która zabrała Helenkę i mnie do szpitala; Helenkę do ogólnego, a mnie do tyfusowego. Tatusia mieli pochować później. Prosiłam, żeby go zawinęli w pokrowiec od pianina, jego „całun”. Pani z Estonii obiecała przypilnować, żeby tak zrobili.

W szpitalu pytali mnie, jak się nazywam. Zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć, chociaż bardzo się starałam. Wreszcie pomyślałam, że nie szkodzi, bo i tak mówić nie potrafię. To pamiętam. Potem zrobiło się ciemno i już nic nie wiedziałam. Tyfus to straszna choroba. Przytomność odchodzi i wraca, odchodzi i wraca. Ratowano mnie usilnie. Pani doktor robiła wszystko, co możliwe, żebyśmy żyła. W końcu tyfus minął. Wdalo się za to zapalenie oplucnej. Ponieważ nie miałam już tyfusu, musiałam być przeniesiona do ogólnego szpitala, tam, gdzie kiedyś zabrali Helenkę. Jak tylko się tam znalazłam, zapytałam o moją siostrę. Pielęgniarka powiedziała, że zabrali ją do

lepszego szpitala w Taszkencie. Jednak ja podejrzewałam, że coś kręci, i nalegałam, żeby mi powiedziała prawdę. Więc w końcu powiedziała, że Helenka umarła na gruźlicę.

Tak się skończyła gehenna mojej rodziny. Sprawdziło się złowieszcze przecucie: lampka paliła się na naszym grobie, nie moim wprawdzie, ale moich najbliższych. Teraz jestem sama.

Kiedy tylko przeszła mi gorączka, wypisali mnie ze szpitala. Nie miałam się gdzie podziąć. Był w tym miasteczku przedstawiciel polskiego rządu w Londynie, tzw. mąż zaufania. Jego zadaniem było pomaganie Polakom. Słyszałam, że dawał małe zasiłki. Powlokłam się do jego biura. Dostałam parę rubli, i tyle. Muszę sobie znaleźć jakieś lokum, bo wprawdzie jest ochronka, ale niestety nie ma już w niej miejsca. W głębi biura zobaczyłam dużo starszego jegomościa, który nie zabierał głosu, tylko popatrzył na mnie. Wyszłam na ulicę – i co teraz? Trzeba szukać noclegu. Ale gdzie? Wtem widzę przed sobą, niby widmo, szpital tyfusowy, kompletnie opustoszały. Był to niewielki budynek, przed nim podwórko. Podchodzę do drzwi i stukam. Może ktoś tam jeszcze jest? Ale gdzie tam. Ani żywego ducha! Cisza grobowa. Obok szpitala jest mała szopa, która się zaczyna rozlatywać; z jednej ściany została tylko połowa. Wchodzę do środka i widzę wannę. To jest wszystko. Żadnych rur, żadnych kranów czy zlewów. Skąd brali wodę do tej wanny? Kto się tu mógł kąpać? Dziwny to kraj, ten raj proletariatu. Ciągłe się czemuś dziwuję, a przecież powinnam była już dawno się przyzwyczaić do ich logiki.

Na podwórku znalazłam trochę siana. Zrobiłam z niego poślanie na ziemi w szopie i przespałam noc w komforcie. Rano otwieram oczy i widzę w drzwiach tego starszego pana z biura polskiego przedstawiciela. Przedstawia mi się: „Jestem Leon Kropiwnicki, starszy brat męża zaufania. Znalazłem dla pani mieszkanie. Chyba będzie lepsze, niż to.” Pomyślałam: „Ten człowiek to anioł z nieba!” Zabrał mnie do starej Rosjanki, która mi dała łóżko na werandzie. To dobrze, bo nie słyszała mojego nocnego kaszlu i płaczu. Tam mi było jak w raju. Spory ogród warzywny, strumyczek, a przy werandzie winogrona. Dziewczynki z ochronki przynosiły mi raz na dzień zupę i kromkę chleba. Jadłam tylko zupę. Chleba nie mogłam, i oddawałam go dwom Żydówkom, które przyjęły sowieckie obywatelstwo i nie podlegały opiece rządu polskiego. Pan Leon załatwił mi, że dostałam furmankę do wioski, gdzie mieszkałam kiedyś z rodziną, żeby zabrać resztę moich rzeczy. Zabrałam wszystko, choć tego nie było wiele. Najważniejsze były dla mnie zdjęcia rodzinne, z których większość mam do tej pory. Były też skarby mamusi: obrazki „święte” w ramach, za szkłem, i relikwie świętych tak bogato ozdobione, że swoją wagę miały. Nikt mi jednak nie mógł powiedzieć, gdzie pochowano ojca.

Pan Leon dowiedział się, że wiosną część wojska i rodzin wojskowych wyjechała do Persji. Był już czerwiec. Jakoby następny transport miał być niedługo, ale obawialiśmy się, że oprócz wojska tylko rodziny wojskowych będą zabrane. Aż tu przyjeżdża furmanka wojskowa, a na niej polski żołnierz i pan Leon. Okazało się, że żołnierz zawitał do polskiego przedstawicielstwa i pytał o mnie i Helenkę. Pan Leon powiedział mi, że muszę zaraz jechać, zanim się coś nie odmieni, bo to nigdy nic nie wiadomo. Więc spakowałam moją walizkę i na wóz. Odjeżdżałam z płaczem, żegnając człowieka, który mi zrobił tyle dobrego. Nigdy go już później nie zobaczyłam. Teraz się modlę, żeby mu Bóg dał piękny pałac w niebie, a jak ja się tam znajdę, to może mnie jakiś anioł zaprowadzi do niego.

Przyjechałam do miasta, którego nazwy nie pamiętam, ale najważniejsze, że było tam polskie wojsko i rodziny wojskowe, czekające na transport do Persji. Znow się znalazłam na werandzie, tym razem na plebanii. Oprócz mnie było jeszcze parę osób. Ksiądz był niezwykle serdeczny. Zaraz mu podarowałam „święte” obrazki i relikwie, które mamusia tak bardzo ceniła. Teraz mogłam sama podnieść swoją walizkę. Wieczorem przyszedł kapitan, który wysłał po mnie żołnierza. Taki dobry i troskliwy, jakby był moim ojcem. Wyjaśnił mi, że moja kuzynka, Irena Kowalska, która jest w wojsku i pracuje w sztabie, napisała, żeby uratował dwie sieroty Bojanowiczówny. Bardzo go o to prosiła. Później dowiedziałam się od niej, jak jej odpisał. Oto tak: „Niestety, z dwóch dziewczynek została tylko starsza, ale i jej też niewiele do życia zostało.”

Po niedługim tu pobycie odjechałam razem z innymi Polakami pociągiem do Krasnowodska na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego. W Krasnowodsku staliśmy wszyscy na placu w porcie, w okropnym upale, bez kropli wody, czekając na okręt. Ja usiadłam na ziemi, bo już stać nie mogłam. Wreszcie okręt przybił do brzegu. Zerwałam się i staje w kolejce. Przy wejściu kapitan zatrzymuje mnie: „Ja pani nie wpuszczę.” Więc ja w bek. „Jak to, co ja takiego zrobiłam?”. „Nic. Tylko pani mi umrze na pokładzie, a ja nie chcę mieć kłopotu.” Ja na to: „Jak tu zostanę, to umrę, a nie na pokładzie. Na pokładzie będę tańczyć.” Usłyszałam śmiech dookoła. Wtem zjawia się kobieta w białym kitlu, doktor, i mówi do kapitana: „Ja panu ręczę, że ona nie umrze. Proszę ją wziąć na moją odpowiedzialność.” No i wziął. Niechże Ci to Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi, moja Dobra Wróżko, moja Zbawicielko – Pani Doktor!

Cała podróż trwała chyba dwie doby. Morze było jak stół spokojne. Piękne. Spotkałam panią Haasową na pokładzie. Jej syn i córka poszli do wojska. Mąż się odnalazł. Wszystko im się dobrze ułożyło. Na statku pani Haasowa miała na sobie rozlatującą się sukienkę z wielką dziurą na plecach. Spytałam, czy nie ma czegoś lepszego. „O tak, mam, ale włożę dopiero w Persji, jak będę na pewno wiedziała, że ten przeklęty kraj jest poza mną.”

Przybiliśmy do portu w Pahlevi (dzisiaj nazywa się Bandar-e Enzeli). Załadowano nas na ciężarówkę. Pomyślałam sobie, że ciężarówką wieziono mnie do Rosji, a teraz ciężarówką ją opuszczam. Ale wtedy byłam z rodziną. Teraz jestem sama. Ten przeklęty kraj zabrał mi wszystkich!

Zostajemy wyładowani na plaży w Pahlevi. Bosymi stopami staje na piasku. O, błogosławiony piasku! Ty gorący, dobry perski piasku! Chciałabym paść na kolana, ale muszę iść, bo wszyscy idą. Wznoszę tylko oczy do nieba na chwilę i szepczę: „Dziękuję Ci Boże, dzięki, dzięki! JESTEM WOLNA!”

I/1/2

ZAKOŃCZENIE

Będąc w pięknym Libanie, ucząc się na amerykańskim uniwersytecie w Bejrucie razem z bogatymi Arabami, trudno mi było uwierzyć, że to prawda. Przez długi czas był we mnie lęk, że się obudzę z tego bajkowego snu i znajdę się gdzieś w Rosji, w jakimś „posiołku”.

Mieszkając w Ameryce, zwiedzałam ten kraj z mężem i synem, i nie mogłam się nadziwić pięknym widokom. Dziękowałam Bogu, że mam się z kim dzielić wrażeniami, że mam rodzinę. A przecież kiedyś inni byli moją rodziną. Gdzież oni? Dziś niczym się nie mogę z nimi dzielić, dziś ich tu nie ma. Ale zawsze są mi drodzy.

Przyszła chwila, kiedy i mąż musiał odejść. Po jego śmierci, żeby mnie wyrwać z domu i złagodzić smutek, syn wziął mnie na wycieczkę po Arizonie i Kolorado. Jeździliśmy wynajętym samochodem i zatrzymywali w najlepszych hotelach. Przepych, bogactwo! A ja, niewdzięcznica, wolałabym siedzieć z moim staruszkiem w naszej chałupce. Żeby był, żeby tylko był!

Moja wnuczka pomogła mi bardzo otrząsnąć się z przygnębienia. Kochane, dobre dziecko. Syn i jego żona też okazali mi dużo troski i serdeczności. Razem z nimi upajałam się widokami jak z bajki. Patrząc na Grand Canyon własnym oczom nie wierzyłam, oniemiała z zachwytu. Dziękuję Bogu, że pozwolił mi jeszcze te cuda oglądać.

Teraz, gdy jestem prawie u kresu mojej wędrówki po tym świecie, patrzę na wszystko z większym zainteresowaniem, tak, jak bym chciała jak najszybciej wchłonąć jak najwięcej. Odkrywam coraz to nową dziwy, nowe piękno i nowe tajemnice. Co było, to minęło, jak sen. I dobre, i złe. Może właśnie całe życie ludzkie jest snem duszy: czasem koszmarnym, makabrycznym, a czasem dobrym, nawet pięknym? Wierzę, że obudzę się z niego opuszczając moje ciało, i wtedy poznam prawdę i cel istnienia.

Toms River, N.J., USA, 2001 r.

IV Korespondencja
(2002) k.1 + koperta



W-49, 17.09.02 r IV/1

Przesyłam relacje Sybiraczkii
do ewentualnego wynonystawie.
Serdecznie i szczerze podrażawiam
do zobaczenia na serji Kropica

Wpłynęło dnia

20.09.

Licz. 358048u 1002

Charciniac

00 891 11 112

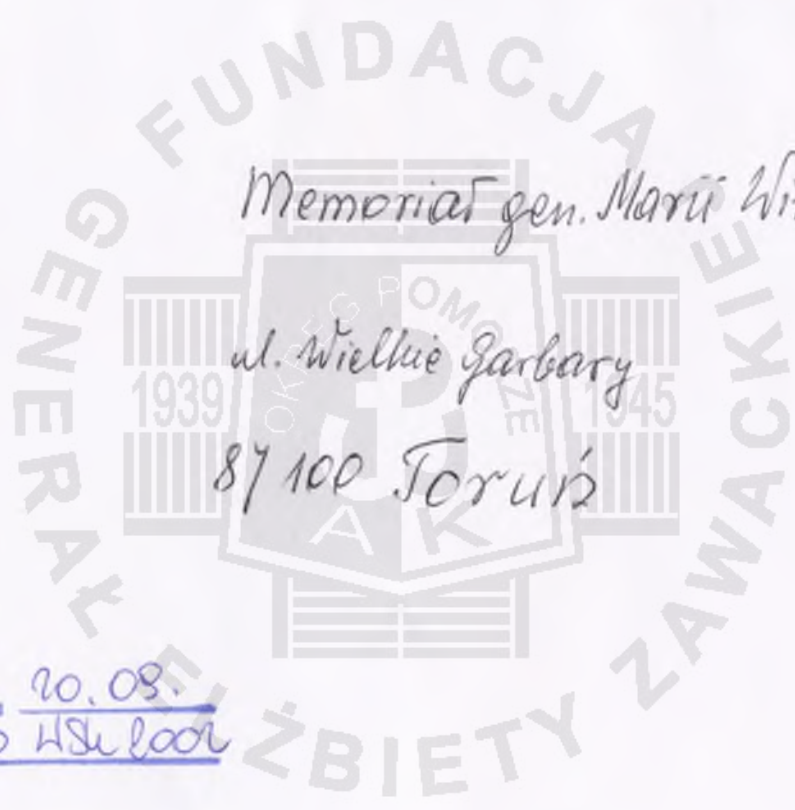
IV/2



Memorial gen. Marii Wittek

ul. Wielkie Garbary

87 100 Toruń



Wpłynęło dnia 20.08.
L.dz. 3530 HSE 1000

KACZMARSKA *Krystyna*

